

119178

*II*

EDWARD PAWŁOWICZ.



# ZAPÓŹNO!

Z WYCIECZKI DO JYMU



LWÓW  
NAKŁADEM AUTORA  
1897.



*Alexander Serebrennikov*

# ZAPÓŹNO!

## Z WYCIECZKI DO KRYMU

OPOWIEDZIAŁ

EDWARD PAWŁOWICZ.



LWÓW

NAKŁADEM AUTORA

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH

POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA.

1897.

PL 362

119178

II



A 229

SYBIRAKOM

W DOWÓD CZCI I WSPÓŁCZUCIA

OFIARUJE

*AUTOR.*

Ostatnimi czasy w prasie rosyjskiej i polskiej wspomnianem zostało znane zaszczytnie — a tak pamiętne wygnańcom Sybiru, — imię śp. Aleksandra Despot Zenowicza w sposób, — który chociaż był dlań pochlebny, wymaga sprostowania.

Powodem tego była mylnie podana wiadomość o zapisie jego biblioteki dla jednej z instytucyj krakowskich. Gdy wszakże wiadomość ta, jakkolwiek nieprawdziwa w szczegółach, — miała swą podstawę w zasadniczej myśli zgasłego męża: — jako bezpośrednio w niej zainteresowany, — a więc najlepiej rzeczy świadomy, — uważam za obowiązek w rzeczywistości ją świetle przedstawić.

Oto jak było:

Przed laty kilkunastu<sup>1)</sup> szczęśliwy traf zbliżył mię z śp. Zenowiczem u wód w Druskienikach. Rzecz prosta, że w pogadankach o Lwowie, który mu był znany, — nie obeszło się bez mowy o Zakładzie narodowym im. Ossolińskich, — o którym jako urzędnik długoletni i zarządca muzeum, byłem w stanie dać mu dokładną relacyę. Że zaś ta musiała go zado-

---

<sup>1)</sup> Wspomnienia przez E. Pawłowicza. Wydanie trzecie 1895 Lwów. Aleksander Despot Zenowicz, b. Gubernator Tobolski — Broszura — 1895 Lwów.

wolnić i dobre jego chęci zjednać, — miałem tego wkrótce dowód, bo po niedługim czasie, gdyśmy się przy rozstaniu żegnali, — Zenowicz czując się w pełni zainteresowanym losem i działalnością tej pożytecznej instytucji, oświadczył mnie: — że postanowił swe zbiory i bibliotekę ofiarować dla Zakładu im. Ossolińskich.

Łatwo pojąć, jak mi było spieszenie za powrotem do Lwowa, miłą tę wiadomość zakomunikować kuraTORy; — bo zaprawdę obietnica tak poważnego męża była mi jakby dokumentem, którego wypełnienie było już tylko kwestyą czasu.

Tymczasem mijały lata. Stosunek nasz zasilany korespondencyą, coraz bardziej zacieśniał się i umacniał. Oddanie zaś zapowiadzanego daru dla Zakładu, odkładane z roku na rok, — z powodu ciągłej niemocy Zenowicza, — zależnem było wkońcu, jedynie tylko od stanu zdrowia, któreby pozwoliło na uporządkowanie papierów i biblioteki, a następnie ułożenie jej systematyczne w szafach, których wykwinotność tłumaczył przeznaczeniem dla publicznego narodowego instytutu<sup>1)</sup>.

Były więc aż do końca zamiary i chęci niezmiennie i najlepsze; ale wtedy właśnie, — gdy miały być spełnione, — fatalność stanęła na przeszkodzie.

W początkach wiosny 1895 r. tak do mnie pisał z Petersburga.

»....źle ze mną i z każdym dniem gorzej, mój zacny i drogi panie Edwardzie. *Ma vieille carcasse s'en va!* Mgliste, szare niebo, wiecznie unoszący się w powietrzu gęsty tuman, wilgotna i jakaś przenikająca do szpiku kości atmosfera; a z powodu śmierci cesarza,

---

<sup>1)</sup> Mówił mi to Dr. Kozłowski zamieszkały w Petersburgu.



kirem pokryte miasto; nareszcie śmierć mego wiernego przyjaciela psa (»drużka«); — wszystko to razem nie mogło nieodbić się na mojem skołataniem zdrowia — i ożywieć ledwie tlejący płomyk żywota, który też choć powoli lecz stale dogasa. Jednak, chociaż świat ten nie wiele wart dzisiaj, by go bardzo żałować, — chciałbym się bronić choćby przed cierpieniem i dlatego postanowiłem z wiosną udać się do Krymu, — gdzie mam oddaną sobie na lato willę Oleis, przez rodzinę, z którą mię łączą dawne syberyjskie stosunki. Otóż, gdy mi piszesz, — że cię wysyłają lekarze gdzieś tam nad morze lub w góry; — zrób tak: zamiast na zachód, przyjeżdżaj do Krymu, gdzie — jeśli cię nie odstraszy towarzystwo schorzałego inwalida — spędzimy razem kilka tygodni, w uroczej miejscowości, wśród ożywczej atmosfery, — zdala od gwaru, — mając po nad sobą góry, a u stóp morze, od którego dzieli moją willę tylko płatek migdałowy. Pomyśl — i przyjeżdżaj, — a wynagrodzisz mi zrobiony przed rokiem zawód, — gdym cię czekał i niedoczekał w Petersburgu.

Oddany sercem *Despot Zenowicz*“.

Rzecz oczywista, że tak ponętna propozycja w usposobieniu i położeniu mojem, nie była do odrzucenia. Znaleść się w Krymie wśród warunków, na jakie tylko zdobyć się może najbardziej wyrafinowany komfort; napawać się urokiem cudnej przyrody, w najmilszej porze roku; przeżyć kilka tygodni w towarzystwie człowieka, który miał w sobie tyle zasobów ducha — a zjednał cześć i miłość nie tylko swoich, ale i obcych; czuć w uścisku jego dłoni serdeczną przyjaźń; a przytem dzielić z nim u stóp Ajudahu rozkosz odczytywania mistrzow-



skich strof litewskiego pielgrzyma; — o, byłby to za-  
prawdę dla mnie wielki los, wygrany na loteryi życia!

Więc bez wahania zdecydowałem się na wyjazd.  
Ale gdy już wybieram się w drogę, krzątam się, aby  
mi nic nie stanęło na przeszkodzie i otrzymawszy infor-  
mację co do podróży wysyłam odpowiedź: że w ozna-  
czonym czasie przybędę — odbieram następujący tele-  
gram z Krymu:

»Villa Oleis. Arrivé — étais gravement malade —  
garde le lit — votre chambre vous attend — et le  
vieux carcasse voudrait bien vous voir. *Zenovitsch*«.

. . . . .  
Nazajutrz byłem już w wagonie. Dwa motory mię  
gnały: nadzieja i — trwoga; — chociaż tę ostatnią uspo-  
kajała myśl, że z nim nieraz tak było.

W Odessie całą dobę trzeba było czekać na odej-  
ście parowca do Jałty. Obejrzałem to ludne i ruchliwe  
miasto, w którem prócz bulwaru ponad morzem nic  
szczególniej pięknego nie spostrzegłem. Odwiedziłem ko-  
legów przebytej niedawno niewoli... Wszyscy mi winszo-  
wali zapowiedzianej gościny.

Nareszcie minęła noc — jestem na statku — pod-  
jęto kotwicę, płyniemy. Morze spokojne, publiczność  
różnorodna pierwszej klasy tłumnie się snuje na pokła-  
dzie. Jedni zajęci wzajemną obserwacją — drudzy wi-  
dokiem ginącej w dali Odessy; inni znów, snąc bywalcy  
na tych wodach — w konwersacyi przeważnie francus-  
kiej z kobietami, których było sporo, — szukają dla za-  
bicia czasu rozrywki. Więc gwar, śmiechy — a wszystko  
to na tle śpiewów hulaszczych szarego końca statku  
i muzyki fortepianu, którego dźwięki zmieszane z głu-  
chym szumem morza, z salonu dolatują na pokład.

A tymczasem nadszedł wieczór — podano herbatę, potem wieczerzę, jeszcze chwila pogadanki w której świeża katastrofa parostatku „Cozebue“ główne zajęła miejsce, — noc. I oto w godzinę wszystko umilkło, rozeszło się i objęło w posiadanie sypialne kajuty.

Cisza...

O, jakże jej rad byłem! Zostałem na pokładzie sam, — z myślą rozkołysaną, wobec tajemniczej głębi niebios i wód. To też wobec tej niezmierzonej potęgi, co je dzierży przez wieki w karbach porządku i ładu — gdym spojrzał poza siebie... jakże mi się drobne i marne wydały troski, zabiegi i dzieła naszego chwilowego życia, nie w duchu Bożym i — prawdzie poczęte.

Oczywiście o śnie, mimo zmęczenia, ani pomyśleć było można. Wrażliwość usposobienia trzymała cały organizm w naprężeniu.

I tak mi przeszła ta noc, — pierwsza noc majowa na morzu!...

. . . . .  
»O morze! pośród twoich wesołych żyjątek  
Jest polip, co spi na dnie gdy się niebo chmurzy,  
A na ciszę długiemi wywija ramiony.

O myśli, w twojej głębi jest hydra pamiątek  
Co spi wpośród złych losów i namiętnej burzy;  
A gdy serce spokojne — zatapia w niem szpony\*.

Ze świtem, ptaszek jakiś, co nam wciąż towarzy-  
szył, przysiadając na maszcie, zaświergotał na dzień  
dobry nad głową i frunął. Spojrzałem w dal, — w sinea  
przestrzeni na lewo, gdy mgła poranna opadła — doj-

rzałem jakby poziomą ciemną linię — na niej kilka punktów, które wciąż rosły, rosły, aż się zmieniły w minarety, kopuły meczetów i cerkwi. Była to Eupatorya, jedno z główniejszych miast Krymu; a dalej, głębiej, na ostatnich krańcach horyzontu, — coś jakby widmo olbrzymie zamajaczyło w chmurach — to był Czatyrdach!

Toż i nie dziw, że okrzyk: »Aa«!! pielgrzyma — poety, odbił się echem w mej duszy...

W parę godzin, płyniemy nieopodal brzegów — mijamy ujście rzeki Almy, pamiętnej krwawą bitwą — zbliżamy się do Sewastopola. Uprzejmy jakiś oficer wskazuje mi i objaśnia ważniejsze jego forty, kurhan Małachowa, grobowiec poległych, baterye, aprosze oblężonych i oblęgających — potężne pływające potwory forty — w zatoce i t. d. Wszystkie te jednak tak pamiętnej wojny pamiątki, nie robią na mnie wrażenia; myśl, co się tam dzieje — i co mię czeka w willi Oleis, na trwogę w sercu kołacze. Nareszcie mijamy Bałakławę i oto zarysowały się malownicze brzegi okolic Jałty; wychyliła się z gór i gajów urocza Ałupka i wraz z nią cały szereg rozkosznych pałacyków i willi odbitych w zwierciadle wód. — Nareszcie Jałta. Wychodzę z parowca na brzeg przystani — i gdy rozglądam się za niosącym mój tłóмок, słyszę że ktoś mię woła z tłumu.

Patrzę, — miłe wrażenie mię ogarnia, bo oto nadbiega kamerdyner Zenowicza, Paweł Chemiczow i wita mię mówiąc: — Ja po pana przyjechałem, oto powóz.

— Jakże się ma generał? pytam wręcz.

— Bardzo źle.

Przeraziły mnie te słowa.

Zaszły konie — siadamy; — i tu mi dopiero opowiada o całym przebiegu podróży z Petersburga, o przeziębieniu w czasie oględzin Sewastopola, skąd przyjechał w tak złym stanie, że zaraz się położył i — już nie powstał. Nareszcie gdy minęliśmy Liwadyę, po krótkim wahaniu — spojrzął na mnie, łzy mu w oczach błysły i rzecze:

— Bóg wie, może go już w życiu nie zastaniem! — to mówiąc płaczem wybuchnął.

— Więc umarł! — powiedz!

— Umarł o 11 z rana. Zmęczeni czuwaniem od dni kilku, doktor, służba i ja, posnęliśmy wszyscy, a gdyśmy się zbudzili — już nie żył...

Ach, jak on pana czekał!...

. . . . .  
Zastałem go na łożu, był już ubrany; uścisnąłem rękę jakby na powitanie... i — wieczne pożegnanie!.. rękę, co tyle łez otarła; — nie była jeszcze zimna... Na stoliku obok leżał ołówkiem ułożony do mnie telegram:

»Arrivez! car dans quelques jours, ou peut — être quelques heures, sera trop tard... *Zenovitsch*.

. . . . .  
O tak — zapóźno!... Ale co tu słowa! — gdzie je znaleźć, by wypowiedzieć com uczuł w tej chwili, gdy patrząc na jego złożone na krzyż ręce, myślałem, że się one ku mnie nie wyciągną nigdy. — Fatalność!

. . . . .  
Zarządziłem, pomimo że był przybity i jakby odurzony, wszystko co było na razie potrzeba dla przygotowania pogrzebu, — rozesłałem telegramy, — a sam obok zmarłego przepędziłem noc...

...Śród ciszy, jaką się otacza majestat śmierci, płątały mi się myśli jakby fale na rozkołysanej głębi. Stał mi przed oczyma obraz dalekiej północy (Sybiru), gdzie ten człowiek był duchem opiekuńczym tylu nie-szczęśliwych, — a teraz, w chwili ostatniej — nie miał ręki coby mu oczy zamknęła! — Pytanie, ażali z tej pięknej duszy, której odbłasku śmierć jeszcze nie starła z liców, nic już nie zostało dla tej ziemi, którą tak kochał? — Pytanie to, tak zwykle osiéroconym, — pograżyło mię w zadumę. Nic?! — Ażaliż wszystko cośmy z niebios wzięli, w niebiosa napowrót uleci — i nic tu nie pozostanie? Najtrwalsze przecież pomniki ręka czasu burzy!... Więc nic; — a więc w czemże nieśmiertelność, o której nam mówią?... szepce mi jakiś głos zwątpienia.

Zostaną czyny ducha, odpowiada wiara. Żli czy dobrzy, znikną dla świata w otchłani wieków a z nimi i ich imiona; ale ich czyny, ale to co posiali za życia, ale praca ich ducha — przetrwa wieki, bo pozostanie w błogosławieństwie lub przekleństwie pokoleń... Bo w dziedzinie ducha, jak i w dziedzinie materji nic nie przepada co raz wzięło życie; nic!... aż do atomów wszechświata! Boć niepodobna przypuścić, aby ten, który tchnął iskrę ducha w duszę człowieka, — co go wznosi w nadziemskie wyżyny; — ten co go zrobił panem świata, dawszy mu wolną wolę, — nie uczynił go świadomym za granicą grobu, czynów popełnionych za życia i odpowiedzialnym za nie. I w tem to jest nagroda lub kara, w tem sprawiedliwość Boża, w tem „żywot wieczny,” w tem nieśmiertelność.

Tak mówił rozum — tak mówiła wiara; ale serce wołało: gdzież oni? — gdzie ich uścisk serdeczny, ich

drogie postacie co nam były osłoda, roskoszą życia, — co nam tworzyły raj na ziemi? — gdzie oni!...

Ciało twoje w grobie, dusza twoja w niebie,  
Ale gdzie ty jesteś — gdzie ja znajdę ciebie!...

Nigdy! nigdy! — jakież to straszne słowa wobec trumny ukochanych.

. . . . .

Takie to były moje dumy i takie było moje z Zenowiczem ostatnie spotkanie.

---

A teraz do rzeczy, o którą mi obecnie idzie.

Po pogrzebie, który odbył się wedle obrządku rzym. kat., nie w Wilnie jak tego chciałem, ale w Koreis na parafialnym prawosławnym cmentarzu, na stoku gór ustępujących ku morzu; — gdym się nieco oswoił z ciosem co mię tak boleśnie ugodził, mając pomimo wszystko na sercu sprawę Zakładu, wysłałem list do Lwowa opowiadając p. Małeckiemu jako zastępcy kuratora, o wszystkim co się stało, mniej więcej w tych słowach:

Czcigodny Panie.

Wiadomo już Panu zapewne, jak okrutnie los za-drwił ze mnie. Zenowicz umarł! — Zostawiwszy wszakże smutki dla siebie, śpieszę zawiadomić Pana o rzeczy dotyczącej się Zakładu, co do biblioteki dlań przeznaczonej. Otóż, gdym nieco ochłonął z zamętu, jaki mię otaczał w ciągu dni kilku, zrobiłem wszystko w tej sprawie co było można, aby ją uratować, — pokrzepiony wiadomością podaną mi przez kamerdynera, *vulgo* sekretarza śp. Zenowicza, mianowicie, że nieboszczyk



czekając mnie z dnia na dzień, gdy czuł się już bardzo słabym, powtarzał mu kilkakrotnie: Skoro tylko przyjedzie Pawłowicz, zaraz mi tu przygotuj papier, on napisze akt darowizny mojej biblioteki dla Instytutu Ossolińskich — a ja podpiszę.

Taka była jego ostatnia wola. A jako taka, ważyc musi podług prawa, na naszą korzyść, — choćby testamentu nie było.

Wszakże, winienem dodać, że w tym względzie obaj spadkobiercy oświadczyli mi najsolenniejszemu w dniu pogrzebu, że wola zmarłego co do przeznaczenia biblioteki, o czem już uprzednio wiedzieli, święcie przez nich spełnioną zostanie. Owóż więc, niech się nasz personal biblioteczny ucieszy, bo zaprawdę będzie za co podziękować spadkobiercom.

A teraz parę słów o sobie.

Od dni kilku mieszkam w Jałcie; pozostać dłużej obok trumny nie mogłem. Zamieszkałem *en pension* w zakładzie zacnej p. Olszewskiej. Nad pokojem nam kaplicę — w oficynie ks. kapelana staruszka Dziwulskiego, wróconego z Archangielska — służbę litewsko-polską, — i to mi wróciło, rzec mogę, w części spokój i równowagę. Z okien, które oplatają bzy, róże, laki i t. d. w pełnym rozkwicie, mam pyszny widok na park rozległy u dołu, — za nim na piękne miejskie wybrzeże i morze; nad sobą zaś olbrzymie góry. A śpiew ptasząt, woń kwiatów, których tu bodaj czy nie więcej jak we Włoszech, — atmosfera gór i morza nie do opisanania.

Wszystko to wszakże byłoby dla mnie zbawiennem, gdyby — mi tego nie pokrył kir żałobny!



Mówię o tych szczegółach panu, bo wiem, żeś miłośnik przyrody i że ją rozumiesz.

\* \* \*

Po wysłaniu tego listu i pożegnaniu p. Stanisława D. Zenowicza, który z synowcem, zapewniwszy mię raz jeszcze o niezmiennem postanowieniu odesłania biblioteki do Lwowa, skoro tylko ukończą się zwykłe urzędowe formalności, odjechał do Petersburga — uważałem za rzecz wskazaną napisać wraz do p. Wł. Spasowicza prosząc, aby pomimo zapewnień spadkobierców jako przyjaciel zmarłego i życzliwy Zakładowi, — miał sprawę jego biblioteki na oku, a to na zasadzie: *que la nuit porte conseil*...

Po dniach kilku taką otrzymałem odpowiedź:

»Drogi panie Edwardzie!

. . . . .  
. . . Widziałem się z p. Stanisławem D. Zenowiczem; widziałem też i synowca, syna trzeciego brata ś. p. Aleksandra, nie mówiącego wcale po polsku. Wrażenie było takie, że ci panowie nie znaleźli w spadku żadnych pieniędzy i radzi byliby ruchomość wszelką po nim spieniężyć. Rachują jako na kupca na p. Wincentego Kościello-Paklewskiego i czekają na niego. Dowiedziałem się, że po zmarłym żadnych nie znaleziono pamiątek. Zato mnóstwo pozostało ciekawych dokumentów. Pan Stanisław, na moje oświadczenie, że można byłoby ciekawsze z nich zbyć dla Muzeum Czartoryskich w Krakowie oświadczył, że nic do zbycia nie posiada. Ale odezwał się, że część biblioteki gotów jest oddać Zakładowi im.

Ossolińskich we Lwowie, bo wie, że taka była wola nieboszczyka.

Szczerze sercem oddany

Wł. Spasowicz.

7. czerwca (26. maja) 1895, Petersburg\*.

\*

\*

\*

List ten należy przyznać, wpłynął pomyślnie na usposobienie moje. Odtąd bowiem spokojny o los biblioteki, z którą łączyć się miała pamięć zacnego człowieka mogłem już oddać się swobodnie, rozpatrzeniu się w mojej nowej siedzibie i korzystać z warunków egzystencji niezwykłych, których tyle miałem pod ręką.

Wszakże, gdy obecnie mam o nich mówić, gdy głównem tłem opowieści, z natury rzeczy, byłyby malownicze okolice Krymu; — sędzę że zrobię najlepiej, jeżeli stosując się do uwagi hrabiego, udzielonej p. Tadeuszowi w »świątyni dumania« — że »niewszystko co jest piękne, wymalować da się« zamiast powtarzania zużytych uniesień — odeszlę żadnego pięknych widoków czytelnika, do obrazów mistrzowskich, jakie dał nam twórca »Krymskich sonetów« — a ograniczę się na kilku rysach, któreby dały pojęcie w przybliżeniu, jak się przedstawia obecnie Krym w miejscowościach zwykle uczęszczanych.

Dla dokładności relacyi, wypada mi zacząć od wskazania drogi najstosowniejszej do tej niedawnej a tak pięknej i ciekawej — krainy Chanów.

Dwa są rodzaje podróży: — lądem lub morzem. Pierwszy od Perekopu koleją, daje sposobność poznania

półwyspu w całej jego długości, z bujnym równym stepem od północy ku południowi, — który trzecią jej część stanowi; — a od Symperopola, w kierunku wschodnim, mimo Bakeczysaraju, Czatyrdachu, Ałukszły, prowadzi do starego Krymu, Teodozyi (Kaffy), Kierczu i t. d. obfitych w zabytki i wykopaliska starogreckie, genueńskie, mongolskie, tatarskie i t. d., (których znakomite okazy posiada Ermitaż petersburski); — w kierunku zaś zachodnim, przez Sewastopol i Bajdarskie wrota, — lub też wprost szosą do Jałty. Drugi, jako najwygodniejszy i szybszy: — morzem, z Odessy, mimo Eupatoryi, Sewastopola, Bałakławy do Jałty — skąd w dalszym ciągu przez Kudak — Batum — na Kaukaz.

Jałta, w której jak się wyżej rzekło zamieszkałem, należy bez zaprzeczenia do miejscowości najprzyjemniejszych dla pobytu, bądź z powodu leczniczych własności — bądź dla położenia i przyrody, która tu swe skarby, wśród wspaniałych akcesoryi, jakie dać mogą widoki gór i morza, — rozsypała hojnie. Miasto samo, położone nad piękną zatoką, zakryte od wschodu przylądkiem św. Jana, z nowo zbudowaną przystanią, — od północy i zachodu górami, pokrytymi sosnowym i bukowym lasem, posiada kilkanaście porządnie zabudowanych ulic, kilka cerkwi, nadewszystko zaś rozkoszne wybrzeże, ulubiony bulwar miejscowej publiczności. Bliskość zaś Liwadyi — niegdyś własności hr. Potockich, a od 1861 r. rezydencji cesarskiej — stała się przyczyną urządzenia i zaopatrzenia tej miejsciny i jej okolic we wszystko, co pod względem wygody i komfortu, bywa właściwością miast wielkich. — Więc hotele, sklepy, kawiarnie, drogi, fiakry, spacerowe statki, kąpiele, ogrody, bliższe

i dalsze parki i korsa, — tak są utrzymane, że wykwinność ich zadowolnić może najtrudniejsze wymagania. Dodać przytem należy, że w okolicach — każda z rodzin arystokracji rodowej lub pieniędzy, ma swą rezydencję. W porze zaś wiosennej, obfitość roślinności; — w jesiennej, wyborne winogrona, wespół z kąpielą, atmosferą gór i morza, — sprowadzają tłumy turystów i kuracyuszów z różnych stron świata.

Co do mego pobytu, — tryb jego, jak zwykle w miejscach podobnych, gdzie się ma na względzie kurację lub spoczynek, był następny.

O 8mej rano dzwonek kościelny wzywał do kaplicy. Msza Św. była cicha, w ciągu której jedna z mieszkanek zakładu odmawiała modlitwę głosem, z którym się łączyły ciche głosy zgromadzonej czeladki i przybyłych z miasta. W niedzielę i święta cała ludność brała udział w nabożeństwie — łącząc zwykle swój śpiew z muzyką organu. Miało to cechę poważną i prawie rzewną jak wszystko co się w tym rodzaju zdarza na obczyźnie; szczególnież — wobec myśli, — że tam, skąd przez całe wieki ciągnęły chmury tatarskiej nawały, — błagalna modlitwa Polaków wznosi się ku niebu, — o zmiłowanie Boże... Po nabożeństwie śniadanie wspólne lokatorów. Po czem każdy szedł do swego zajęcia; ja zaś, gdy była po temu pora, z książką i psem co się do mnie przywiązał, — ciągnąłem do parku lub gaju, co zwykle w tym czasie był pełen ptactwa, — kwieciami i śpiewu. Trwało to do obiadu, który gromadził znowu całe towarzystwo. A że składali je ludzie różnych stron świata i zajęć — więc oczywiście treści do pogadanki ani też chęci nie brakło. Siesta, przy cygarach i kawie, miała miejsce najczęściej na werandzie, pod cieniem markizy

i powojów, ponad parterem róż, hyacyntów, laków, — które o tej porze w pełnym były rozkwicie. W dole zaś roztaczał się widok pysznego parku, — za nim miasta, portu i morza.

Popołudniowe godziny zajmowały dalsze wycieczki. Do najbliższych i najmielszych zaliczyć muszę Massandrę, Ałupkę, Gurzuf, z wsuniętym w morze Ajudahem.

Że była najbliższą Massandra, w jej zatem parku najczęściej spędzałem długie godziny. Bo też to okolica, o której słusznie Dubois de Montpré powiada, że nad nią prawdopodobnie bardziej uroczej Krym nie posiada. Widok z niej na całą dolinę Jałty, port, — wybrzeża i morze, obramowany w odwieczne dęby, lipy i olbrzymie orzechy i cyprysy, — strome ozłoczone blaskiem słońca skały, — zachwycający. — Wszakże, rozkoszując się widokami uroczej krainy, jakże trudno opędzić się było nieraz tej gorzkiej myśli: że tyle leż wsiąkło w nią skutkiem naszego nieładu i błędnej polityki... Biegliśmy na ratunek Wiednia — a granice własnego kraju od wschodu — stały otworem...

Pociągały mię też wycieczki i w przeciwnym kierunku ku Liwadyi, Oreandzie, której to ostatniej położenie i szczątki belwederu po niedawnym pożarze wsunięte z odłamem skały w głąb morza, dają obraz raczej do jakiejś fantasmagoryi niż rzeczywistości podobny. Dodać też należy, że zwiedzanie tych miejscowości, położonych zwykle na brzegu morskim, ułatwiają powozy i statki, kursujące w pewnych godzinach za umiarkowaną cenę. Każda z nich przytem ma restaurację, hotele i na czas dłuższy mieszkania do wynajęcia. Wycieczki zaś dalsze w głąb kraju, odbywają się z po-



wodu górskich okolic niedostępnych powozom, zwykle pieszo lub konno, ku czemu rasa krymskich koni wytrwałych i zmyślnych wielce się nadaje.

Co do bezpieczeństwa w tym nawpół dzikim kraju to przyznać trzeba, że to, w porównaniu z tem co się obecnie dzieje w cywilizowanym Zachodzie, — mogłoby chyba być celem naszej zazdrości. Pomimo, że ludność krymską składa tyle różnych żywiołów i narodowości, — bo Tatary, Ormianie, Karaici, Żydzi, Cyganie, Grecy, Rosyanie, — o napadach, zabójstwach, rabunkach, samobójstwach, prawie niesłychać. Kwietyzm wschodni, połączony z policją czynną i czujną, trzyma tu wszystko w korbach porządku i poszanowania władzy, nie krępując wcale mieszkańców. Ztąd pewne obustronne zadowolenie a więc i — spokój. W wycieczkach moich, które najczęściej bywały samotne, nie zdarzyła mi się nigdy żadna zła przygoda; a usłużności chętnej doświadczyłem nieraz.

Jak zwykle w krainach południowych nadmorskich, lazaronizm i ubóstwo spotyka się i tutaj dość często, ale widzieć żebraka zdarza się rzadko. Uprawa ogrodów warzywnych, owocowych, w czem rasa tatarska celuje, oraz licznych winnic, — prócz tego nieustanne zajęcia w przystani, — gdzie ruch towarowy ciąglej wymaga posługi, — zapewnia robotnikowi stały codzienny zarobek. Właściciele zaś wierzchowych koni, z wynajęcia ich ciągną też zysk niemały.

Wśród ludności tatarskiej, która w Krymie przeżywa, wyróżniają się dwa typy: mongolski zamieszkujący przeważnie część stepową — o skośnych oczach i płaskim licu, a który od czasów Witolda przechował się dotąd na Litwie; — drugi, prawdopodobnie kaukazki,

odznaczający się kształtnością rysów, smukłą i piękną postawą, a którego siedzibą górskie okolice południowego brzegu. Niepodobna też nieuwzględnić, że tak starogrecka jak i genueńska epoka zostawiły tu swoje ślady, nie licząc już zmieszania krwi i ras, wskutek tyloletnich zagonów — i krociowych ofiar *jassyru*, — przywleczonych tu z Rusi i Polski.

Wsie tatarskie, położone zwykle na stokach gór — z gliny i odłamków skał, — budowane są w ten sposób — że dolna ich część stanowi mieszkanie, — górna terasy — na których, jak we Włoszech południowych, nierzadko widać grządki jarzyn lub krzewy.

Hodowla owiec i koni stanowi główne na stepach zajęcie; górali zaś zaprzęta handel; krów z powodu braku paszy w okolicy górzystej niewiele mają, mleczywo zatem, sprowadzanem być musi z okolic stepowych południowej Rosyi.

Co do charakteru i natury tego ludu, — jest ona spokojna i prawie bierna; — zato religijność nieugięta. — Przywiązani do swych zwyczajów, ubioru, sposobu życia, pomimo wpływu szkół rządowych miejskich i wiejskich, pozostali im dotąd wierni. — A należy dodać w nawiasie, że do niedawna jeszcze, — z ich plemienia Tatar osiadły na Litwie, — był synonimem rzetelnego człowieka.

\*

\*

\*

Opowiedziawszy co uważaliśmy za niezbędne o stronach dodatnich Krymu — wypada mi jeszcze powiedzieć słów parę o jego stronach ujemnych, — a to w interesie tych mianowicie, którzy doń radziby byli się wybrać dla poratowania zdrowia, lub wypoczynku.



Otóż jedną z nich i bodaj najważniejszą, jest zmienność atmosfery, — drugą — zbytek wilgoci. To też gdy klimat krymski, przy zachowaniu pewnej ostrożności, jako zaopatrzony w znakomite lecznicze warunki, zbawiennie działać może na dotkniętych chorobą piersiową, to dla osób skłonnych do malaryi bez wątpienia jest i musi być fatalnym.

Zmienność ta powodowana siłą sprzecznych prądów z gór i morza, — mglistych wieczorów i chłodnych po dniach upalnych nocy, — przy tem wilgotne mieszkania, w domach zbudowanych przeważnie z kamienia — nierzadko na stokach gór, — obfitych w źródła będące dla nich nieustannym rezerwoarem, — wszystko to razem wzięte wytwarza atmosferę, której rezultatem, nawet wśród miejscowej ludności, jest tak zwana „*krymska febra*“.

To też po niedługim czasie, gdy poczułem jej zapowiedź — nie czekając aż się naprawdę objawi, poradziwszy się lekarza, zabrałem się do powrotu.

I oto po dniach kilku w piękny poranek majowy stałem na pokładzie parowca, żegnając Jałtę i — świeżą nieopodal mogiłę, — co wśród obcych samotna — zasuwiała się zwolna w siną dal... A gdym się wpatrywał w wyżyny cmentarza *Koreis*, niepodobna było nie pomyśleć: że odjeżdżam — uboższy o jedno wielkie i niezwykle szlachetne serce!...

---

W Sewastopolu zatrzymałem się, aby pocztą przez Bałakławę udać się na Bajdarską dolinę, dla oglądania o wschodzie słońca, sławnego swą oryginalnością widoku. I rzeczywiście, nie żał było trudu i nakładu drogi. To, com

widział tam pod względem piękna, — przekracza skalę wszystkiego co spotkałem w Krymie. Bo oto, gdy gościniec wykuty w skale pnąc się coraz wyżej i wyżej — dojdzie do miejscowości, która z obu stron dzikością swych złomów skalnych, — wśród zalegających ją cieniów nocy — zdaje się być obrazem Dantejskiego piekła, nagle, — jakby za podjęciem kórtyny, — przez wykuty w skale otwór, który stanowi bramę, — odkrywa się widok niespodziany, jakby z tysiąca i jednej nocy wyjęty; — widok, na niezmierzony przestwor morza i — wychodzące z morskich toń słońce....

Przepych kolorytu, blasków i czarów... nie do opisaniania!!! »Impresyonista« rzuca tu swój pędzel, — i zrozpaczony wobec „*Arcy-mistrza*“ — woła z pokorą:

— »Panie, przed Twoim obliczem,  
Jestem prochem — i — niczem!!«

Powiadają, że dla tego jednego tylko widoku, któremu nazwa „*Bajdarskie wrota*“, warto odbyć podróż do Krymu.

Po dniach więc paru obejrzawszy z powrotem Bałakławę i Sewastopol, których pamiątki jakby karty epokowych dziejów, — są dziś własnością całego świata, stanąłem w Odessie, — a nazajutrz po południu we Lwowie, — gdzie, jak to było do przewidzenia, — powitał mię na progu, znany od dawna, — a zdwojony obecnie, — ciężar samotności — i pustkowia, wśród ludzkiego tłumu...

---

Wiadomość o śmierci D. Zenowicza podana przez Wł. Spasowicza w Kraju, a w »Słowie« warszawskiem

przezemnie, obudziła żal powszechny. Po dniach kilku w katedrze lwowskiej odprawionem zostało nabożeństwo żałobne, — w którym zacni ludzie złożyli dowód pamięci serca, czci i wdzięczności należnej dla zmarłego. Wieńce i napisy złożone zostały w dziale pamiątek Muzeum Zakładu Nar. im. Ossolińskich.

A gdy się to już wszystko stało i życie weszło w swą zwykłą kolej — po wyczekaniu stosownego czasu, uważałem za właściwe, w sprawie wiadomej, odezwać się znowu do p. Wł. Spasowicza z zapytaniem, jak rzeczy stoją co do biblioteki.

Oto odpowiedź:

»Spełniając Twoją wolę, opiszę wszystko, co wiem o bibliotece i sprzętach albo kosztownościach, które wchodzi w spadek po nieodżałowanym naszym wspólnym przyjacielu Aleksandrze D. Zenowiczu . . . . . Co do spadkobierców, utrzymywali oba, że po nieboszczyku nie zostało ani grosza. O rozmowie z prezesem Baku, pisałem Ci już, że przy widzeniu się ze mną wspomniał, że część biblioteki oddać zamierza Zakładowi im. Ossolińskich. Po tej jedynej rozmowie, o której Ci zdałem relację, już go nie oglądałem. Stryj i synowiec odjechali, nie robiąc mi wizyty. Od p. prof. Ptaszyckiego zaś dowiedziałem się, że sprzęty, kosztowności, osobliwości chińskie, japońskie i biblioteka sprzedane zostały *en bloc*, — za jaką sumę i jakich warunkach? — nie wiem dotąd. To wiem tylko, że cały układ o nabycie był prowadzony przez p. Wincentego Koziello-Paklewskiego itd. itd.<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Godzi się przypuszczać, że p. Koziello-Paklewski zamieszkały w gub. Permskiej, syn zanego ojca, nie wiedział o za-

Kończy zaś, wyluszczając mi warunki, w jakich dopuszczalne jest otrzymanie spadku nieuprawnionego testamentem, nie wiedząc widocznie o najważniejszym w takim razie warunku nam przysługującym: o zeznaniu wiarygodnego świadka, gotowego je stwierdzić przysięgą, co do ostatniej woli zmarłego, — a które wypada podług prawa na korzyść Zakładu.

\*                      \*

Jakkolwiek od dawna aksjomat: „*nil admirari!*“ stał się dla mnie zasadą, ta jednak wiadomość zdziwiła mię niesłychanie. Jakto, — więc to wszystko, co przemawiało za nami: oświadczenie własne spadkobierców wobec ludzi godnych wiary, — przekonanie moralne o intencji zmarłego, — która była aż do końca ukochanem jego dzieckiem, — a co zaś najważniejsze, zeznanie świadka ostatniej umierającego woli — wszystko to lekkim sercem zostało usunięte na stronę, — uznane za niebyłe, — i cudzą własność sprzedano.

*Incredibile dictu!* — a jednak tak się stało.

---

W taki to sposób sprawa w swej genezie i pobudkach szlachetna i piękna — której prolog odbył się nad brzegami Niemna, — po przejściu tragicznych stadyi w Krymie, — znalazła niespodzianie swój epilog nad Nową. I co dziwniejsza, oto autorami pierwszej i dru-

---

miarze Zenowicza, który jako członek rady ministra spraw wewnętrznych, nie uważał za potrzebne opowiadać o sympatyach swych dla Lwowa.

giej akcyi, byli dwaj bracia rodzeni. Oczywiście, wnosić wypada, że chociaż byli *ejusdam farinae*, innego byli pieczywa.

Wobec zatem dokonanego faktu, gdy myśl windykowania przeznaczonego dla Zakładu daru, — z mojej strony jest wykluczona, — pozostaje mi jedno: sprawę tę a z nią i kwestyę: czy i o ile jej zakończenie zgadza się z pojęciami przyjętymi w świecie — oddać na sąd opinii publicznej, co też niniejszem czynię, — a czynię to na zasadzie: że instytucya narodowa w swych zasobach i korzyściach — tak jak owa roślina, której nazwa: „*noli me tangere*“ nieetykalną być winna.

---

Mówiąc o Krymie niepodobna nie potrącić o jego dzieje; przytaczamy z nich niektóre.

Przeszłość dziejowa Krymu, w streszczeniu tak się przedstawia <sup>1)</sup>).

Pominąwszy dzieje oparte, jak zwykle u wszystkich ludów, na podstawie mytów i podań zagadkowych, na 1800 lat przed naszą erą zjawiają się tam potomkowie celtyckiej rasy pod nazwą Taurów. Od tego to miana Krym otrzymuje nazwę Taurydy. Herodot twierdzi, że jeszcze przed pojawieniem się Scytów, nad brzegiem Dniepru, na 1500 lat przed Chrystusem, budowali już oni miasta i twierdze. Jednym z gmachów przez nich wzniesionym, w miejscu, gdzie później za czasów greckich stało miasto Partenion, a obecnie kościół św. Jerzego w Starym Krymie, była świątynia poświęcona Dyanie, słynnej w następstwie czasu, kapłanką *Ifigenią, Orestem i Piladesem*. W XII wieku przed narodzeniem Chrystusa płynęli tedy Argonauci w drodze do Kolchidy (Sewastopol) po runo złote. — Nareszcie w 1554 r. przed Chrystusem, zawładnęli tą krainą Scytowie, których rasa zmieszana z miejscową ludnością utworzyła naród zwany Tauro-Scyty.

Wspomniana wyżej opowieść wskazuje, że Grekom od dawna znanym był Krym, ale kolonizacye ich za-

---

<sup>1)</sup> Putiewoditiel po Krymie p. Gołowkińskiego, Symperopol 1894 roku.



częły się nie wcześniej jak w VII, lub w początkach VI wieku przed naszą erą. W V dopiero wieku, na brzegach Taurydy przyjął się i zapanował stanowczo grecki żywioł i grecka kultura z jej wolnością i dobrobytem. Kolonie jej liczne, dzieliły się pod względem politycznym na dwie grupy: na czele jednej była Panticapea, — drugiej Chersones.

Tak trwało do czasu, gdy cesarstwo Bosforu, rozpostarło swą władzę na cały południowy brzeg. Tu dopiero nastał peryod pochodu ludów wszelkich ras i nazwy. Przeszli tędy Hunny, Goty, Chazary, Pieczeniegi, Rusy, Połowcy. Aż w końcu Juliusz Cezar siłą oręża, zamienił cesarstwo Bosforu na prowincję rzymską.

W XIII wieku, Krym staje się zdobyczą Mongołów, którzy w nim panują przez 500 lat. I w tym to czasie prawdopodobnie pojawiają się w Krymie Tatarzy, w ślad za najściem Batego na południową Rosyję.

Handel z Indyami przez Azowskie i Czarne morze, sprowadza tu przemysłowców i handlarzy włoskich z Wenecyi i Genui, z których pierwsi opanowali Azów, drudzy Kaffę (Teodozyę); ta wkrótce doszła do takiej potęgi, że wypowiedziała wojnę Tatarom i zmusiła do zamknięcia cudzoziemcom do żeglugi Azowskiego morza, zaczęło poszło zdobycie Sudaku, Bosforu, Bałakławy i Chersonesu. Trwało to wszakże niedługo, bo w 1475 r. Sułtan Mahomet II wysłał przeciw Kaffie flotę z ogromnem wojskiem, a jednocześnie Tatarzy wtargnęli z lądu do miasta i wszystkich prawie mieszkańców w pień wycięli. Co zaś było w posiadaniu Genuńczyków dostało się Tatarom, — kwitnąca republika genueńska znikła, — a brzeg południowy Krymu którego ludność doszła do półtora miliona mieszkańców, stawszy się własnością Tur-



cyi, zmienił się w pustynię. Co zaś do nielicznych resztek pozostałych chrześcian, te, znalazłszy się w położeniu niewolników, straciwszy z czasem swą wiarę i język, zlały się z panującym w Krymie żywiołem muzułmańskim.

W tym to czasie wzięło początek panowanie krymskich Chanów z rodziny Girejów.

Najznakomitszym z tego rodu, w pierwszej połowie piętnastego wieku, był Chadżij-Dewlet-Girej, którego dynastia dotrwała aż do upadku państwa.

Podanie mówi, że kiedy krymscy Tatarzy, zrażeni nieustanną zmianą swych władców, zapragnęli mieć Chanem potomka w prostej linii Czyngishana — to niejakiś Girej (Litwin), który w pewnej domowej bitwie uratował Dewletowi życie, — a potem, wychowawszy go jak syna, przedstawił swego wychowanka Tatarom, i ci co go obrali sobie Chanem. Gdy zaś ten będąc już władcą, zapytał Gireja, jak sobie życzy być wynagrodzonym za tę usługę — to Litwin oświadczył, że chce aby Dewlet i jego potomkowie, dołączyli do swych imion jego imię. I to było przyczyną, podług narodowej tradycyi, że odtąd dynastia Dewleta otrzymała miano Girejów.

Dewlet-Girej, jakeśmy wyżej rzekli, był jednym z najznakomitszych krymskich Chanów. Nie troszcząc się o zdobycze, zwracał on całą uwagę na rozwój posiadłości zdobytych i dobrobyt ludności tatarskiej. Najprzyjaźniejsze stosunki utrzymywał z Genuęńczykami, bez względu, że sam był gorliwym muzułmaninem i odbywał pielgrzymki do Mekki, dla uczczenia grobu proroka. Za co też otrzymał tytuł »Adżi«. — A tak dalece odznaczał się tolerancją — że dawał nawet zapomogi chrześcijańskim klasztorom.

On to przeniósł stolicę z Sołkatu (Stary Krym) do Baczysseraju — i odtąd dawna ta stolica koczowniczego Inotu, utraciła wszelkie znaczenie.

Na nieszczęście Tatarów, niegodni następcy *Devlet-Gireja*, nie poszli w jego ślady. Po śmierci jego, za staraniem Genuelców, wstąpił na tron jeden z jego synów, wychowany w Kaffie — Mendli-Girej.

O ile jego ojciec troszczył się o utwierdzenie ludności swej w zamięłowaniu życia domowego, — o tyle ten, może bezwiednie, obudzał i rozwijał w niej instynkta nieukrócone i dzikie. Otrzymawszy wychowanie u Genuelców, budował on wprawdzie i zaprowadzał ludowi szkoły, ale jednocześnie wiódł go na krwawe boje — i zagony. Podejrzany o sprzyjanie Włochom, utracił 1478 samodzielność i przyznać musiał nad sobą zwierzchnictwo Turcyi.

Umowa w tym względzie zawierała następujące punkta:

1. Pozostawia się Chanowi absolutna władza — a z nią prawo życia i śmierci. Ma prawo na koszt Sułtana, utrzymywać oddział 4,000 wojska.

2. Chan ma być wybierany przez naród z rodziny Girejów, w linii prostej z potomków Czyngis-Chana.

3. Jako najwyższy władca krymskiego Chanatu, sułtan ma prawo używać w razie danym Tatarów na wojnę; sam zaś Chan, ani wypowiadać wojny, — ani zawierać pokoju — nie może.

4. Sułtan jako najwyższy Kalif ma być uważany jako protektor mahometańskiej wiary, cmentarzy i świętych miejsc.

5. Sułtan ma prawo utrzymywać swój garnizon w Eupatoryi.

Po śmierci Mengli-Gireja, nastąpił syn jego Mahomet-Girej (1515—1523). Ten w rozbojach i dzikości, prześcignął ojca. Cały ciąg jego panowania zeszedł na nieustannych zagonach na Rosyję i Polskę, które w nieustannym utrzymywał popłochu. Za jego to czasów bierze początek ów nieczyny handel ludem pochwyconym w jassy — a siedliskiem tego handlu była znakomita niegdyś Kaffa (Teodozya).

Michalon-Litwin tak o tem mówi:

» . . . Tatarzy mają liczne stada, jednak daleko są bogatsi, posiadaniem uwieczonych niewolników, — których jako towar dostarczają innym krajom. Okręty przychodzące do nich z za morza — z Azyi, przywożą dla nich broń, ubranie, konie, a odpływają napowrót naładowane jeńcami. Wszystkie ich rynki — sławią się takim towarem, który zawsze mają gotowy czyto do sprzedaży, czy na zamianę lub na podarki. Ktokolwiek z nich ma konia, każdy, gdyby w razie danym nie posiadał niewolników, ale suponując że ich może mieć, — obowiązuje się kontraktem dostawić ich swym kredytorom na oznaczony czas — jako dług zaciągnięty za kupioną odzież broń, lub konie. I takie zobowiązania wypełniają się u nich rzetelnie, — tak, jak gdyby nasza ludność była u nich zawsze na pogotowiu do pochwycenia...

» . . . Gdy więźniów wywodzą na sprzedaż, — powiada on dalej, — to wiodą ich na plac dziesiątkami, jeden za drugim, jak sznur leących żurawi, przykutych do siebie za szyję i tam dziesiątkami na licytacji sprzedają. Przy tej zaś sprawie aukcyoner na cały głos woła: że są to niewolnicy najnowszej daty, prawdziwi, — bez fałszu, świeżo przywiezieni z królewskiego a nie

moskiewskiego narodu. Lud bowiem moskiewski, miał u nich niższą cenę jako w ich mniemaniu złośliwy i chytry«.

»Towar taki w Taurydzie wysoko ceniony przez znawców, sprzedawany był cudzoziemcom za wysoką też cenę na miejscu, a przez tych za wyższą o wiele — dalekim ludom czarnej rasy: Saracenom, Persom, Arabom, Indyanom i Assyryjcom itd.«.

»Chłopców i dziewcząt, w lepszym gatunku, nie wyprowadzano na targ z tłumem innych od razu, aż ich dobrze wprzód odkarmiono, wybielono — wyróżniano, — odziano w jedwabie, aby sprzedać jak najdrożej. Ładniejsze dziewczęta wraz na miejscu z rąk do rąk odprzedawano z niesłychanym nieraz zyskiem. Sprzedaż taka odbywa się we wszystkich miastach Krymu, szczególnie w Kafie, z kąd wprost na okręty wiodą tych nieszczęśliwych. To też to miasto jest jakby otchłań bezdenna — która chłonie w sobie morze łez i krwi naszej!«

Po śmierci Mahometa-Gireja, Chanowie mianowani byli przez Sułtana; — wszakże — w owych czasach kiedy z rozmnożonej rodziny Girejów — wytworzyła się klasa t. z. Bejów, to jest drobnych władców, którzy mianowani przez Chana na wzór feudalnych baronów, nakładali na ludność podatki, puszczały się w zagony na własną rękę itd., utrzymanie się Chanów na tronie zależnem było nieraz od podtrzymania tych burzliwych a potężnych książąt.

Nawet, Chan Selim-Girej, którego sam Sułtan zwał ojcem ukochnym, nie mógł się utrzymać długo mimo jego protekcyi — i cztery razy strącany był z tronu przez Bejów.

To też zagony, rozboje, rabunki, nie tyle były dziełem narodu, który zwolna przywykał do osiadłego życia i uczuwał nieraz niemałe straty po skończonej wojnie — ani nawet Chanów, — ile raczej dziełem tych krymskich feudałów t. j. głównych naczelników wpływowych rodów. Niektórzy z pośród Chanów pojmovali aż nadto, że te ciągle zagony, rabunki działały w sposób destrukcyjny na organizm państwowy, ale oprzeć się temu nie mogli, tak byli zależni od tych wpływowych książąt — czyli Bejów.

Ale to też właśnie było przyczyną upadku.

Przy końcu XVII wieku, stosunek Rosyi do Krymu od dawna zachwiany, stał się jawnie nieprzyjaznym. W 1737 r. feldmarszałek generał Lassy, zdobył Perekop. W 1770 r., hordy nogajskie, zwykła opora i awangarda Chanatu, przeszły na stronę Rossyi; w następnym zaś roku ks. Dołhoruki zajął ponownie Perekop i w ślad zatem Arabat, Eupatoryę, Kaffę, Kercz i Genikale. Nareszcie, po różnych wojennych i politycznych kolejach i pokoju zawartym z Turcyą w Kuczuk-Kajnardzi 1774 r. Cesarzowa Katarzyna II, zgodziła się na abdykacyę przez siebie osadzonego ostatniego Chana - Szagin-Gireja i zawiadomiła Europę że »półwysep Krymski, wyspa Taman i cała okolica kubańska, przyjęte zostały pod władzę państwa rossyjskiego«.

W taki to sposób, Krym jako kraina hojnie od przyrody uposażona — wydzierany sobie nawzajem przez rozmaite ludy, w ciągu wieków, — został wcielony do Rossyi w 1788 r. bez wystrzału.

Kończąc niniejszą pracę, — autor jej powziął myśl dorzucenia kilku kartek z życia człowieka, który tej pracy był głównym powodem. W tym więc celu, uznawszy myśl tę za stosowną, zapożyczył je o ile się to zrobić dało — z wydanej przez siebie w 1895 r. broszury, p. t. *Aleksander Despot Zenowicz*, b. *Gubernator tobolski*; a uczynił to, nie tylko z poczucia pietyzmu dla pamięci zmarłego, — lecz i dla dogodności czytelnika, któremu ta szlachetna postać mniej znaną była.

---



Polakiem jestem, N-szy Panie!  
(słowa Zenowicza do Aleksandra II.).

Śród dziwnego zamętu pojęć, dążeń i zaciętej walki, która się na tyłu polach bez wytchnienia toczy, — wobec pytania co zwycięży: — fałsz — czy prawda? jakże miło zatrzymać wzrok na tych, co w tej walce, wolni prywaty, służąc przedewszystkiem prawdzie — idąc spokojnie i równo, błyszczą śród chmur zbierającej się burzy, — nie jak błędne ogniki, — lecz jak stałe gwiazdy przewodnie.

Komuż, kto zna dzieje lat ostatnich naszego stulecia, nieznane imię Aleksandra Despot Zenowicza? — Kto z nas nie pamięta czasów, — gdy w pewnych sferach, zaparcie się wiary i narodowości, rozbrat z honorem i sumieniem — w opinii wielu, za akt roztropności i zachowawczego instynktu uważanem było! owych czasów, — kiedy on jeden z pośród niewielu ziomków co byli u władzy — miał odwagę czuć się — co więcej, zwać się Polakiem, — miał odwagę być dobroczyńcą — być opiekunem pędzonych w Sybir rodaków.

To też, w epoce samolubstwa i interesu... spotkać zasługę i skromność; w czasach blagi i deklamacyi, spotkać czyn; — w czasach indeferentyzmu, gorącą miłość wszystkiego, co dobre i piękne; a co najważniejsze, w czasach służalstwa, — spotkać poczucie godności, co karku nie ugina i w kompromisy w sprawach



honoru nie wchodzi; — i to wszystko spotkać w pięknej i sympatycznej nad wyraz postaci, otoczonej aureolą zasługi; — o zaprawdę, takie spotkanie, może być odpowiedzią pessimistom, że bądź jak bądź, ludzkość nie upadła jeszcze tak nisko, jak to radzi głosić, — gdy się zjawiają ludzie tej miary.

Jakże godzien zazdrości, komu daną będzie sposobność to piękne życie, z którego zaledwie kilka rysów podać możemy, w całej rozciągłości opowiedzieć!

Bo i nie zwyczajne też losy tego człowieka.

Dość powiedzieć, że tłem, że kanwą, na której się znaczyły, — było naprzód Wilno z całym urokiem tradycji; — potem Moskwa budzona duchem ówczesnej młodzieży; — dalej Sybir, z całą grozą północnej przyrody i *katorgi*; — nareszcie nadnewska stolica, gdzie mu było danem, wśród niezwykle trudnych okoliczności przeżyć długie lata na wysokim stanowisku.

Potomek rodziny, liczącej przodków wśród przodujących rodów w zamierzchłej przeszłości, spokrewniony z pierwszymi domami Litwy, — w której imię Zenowicza nierzadko się spotyka na wysokich stanowiskach hierarchii społecznej, — urodził się w 1829 r. w powiecie trockim, miejscowości Kietowiskach, gdzie przy swej babce szambelanowej Chomińskiej, spędził dziecięce lata. Uroczne położenie tej ponad malowniczym jeziorem położonej miejscowości, otoczonej gajami jakby wieńcem; spokój, wiejska swoboda i ta szeroka przestrzeń dla oddechu i myśli, jaką wieś swym miłośnikom daje, — nie mogły snać nie wywrzeć wpływu na umysł dziecięcia — i nie odbić się tym zadatkiem piękna, tem podniesieniem horyzontu widzenia, w dalszym życiu człowieka.

Niejednokrotnie to już bowiem stwierdzono, że jeśli miasta tworzą ludzi znakomitych, biegłych w różnych zawodach, jeśli tam budzą podziw ich dzieła; — wieś daje ludzi zacnych — ludzi wielkiego serca i charakteru; bo się zrodzili i wzrosli wobec widoku dzieł Bożych — dzieł najwspanialszych, — które acz bezwiednie — niemniej jednak stanowczo wpływ swój wywierać muszą.

Szkoły przechodził w Wilnie. Studya uniwersyteckie świetnie zakończył w Moskwie. Następnie, podczas pobytu w Wilnie, którego właściwością jest utrzymywanie ducha na wyżynach cnót domowych i publicznych, posadzony o knowania liberalne, został aresztowany i skazany na wygnanie, naprzód do Permu, a potem w głąb Syberyi. Było to w 1861 r. Tam to oderwany od rodziny samotny wygnaniec, gdy inni w podobnem położeniu opuściwszy ręce, oddają się na pastwę denerwującym smutom lub apatyi, — on, ze zdwojoną energią zaprzęga się do pracy, oddaje się studjom i naukowym badaniom, tego podówczas mało znanego, a tak obfitego w bogactwa kraju — i gromadzi materiały co miały z czasem być podstawą jego świetnej przyszłości.

Nareszcie, uwolniony amnestyą cara Aleksandra II., wstępuje do służby rządowej, gdzie wkrótce wykazawszy niezwykłą zdolność i energię w zakresie administracyjnym, przechodząc szybko stopnie hierarchii urzędniczej, w 28 roku życia otrzymuje zaszczytne stanowisko zarządcy prowincyi w Kiachcie na granicy Chin. Tu rozwija działalność, która wkrótce zwróciła nań uwagę sfer najwyższych. A gdy następnie, na jego przedstawienie, zarząd tej prowincyi jako takiej zwiniętym być musiał, —

reskryptem Aleksandra II. otrzymuje nominację na gubernatora Tobolska i tam pozostaje do 1867 roku.

Że mu w tej świetnej i szybkiej karierze dopomogły wysokie stosunki stolicy <sup>1)</sup>, to nie ulega wątpliwości; — ale i to pewna, że nie na wieleby się one zdały, gdyby dla nich nie były podstawą: niepospolita jego zdolność, prawość i wypróbowana moc charakteru — której towarzyszyła odwaga cywilna. Znane są jego słowa powiedziane Carowi na audyencji przy odjeździe do Tobolska: »Najjaśniejszy Panie, Polakiem jestem«. Słowa powiedziane w czasie i miejscu, gdzie wszystko, co polskie niechętnem było widzianem okiem.

A wiedzieć należy, że gdy tę nominację otrzymał, był to czas głośnej sprawy w Tobolsku, wskutek której za tolerowaną przez władzę owacyę, urządzoną na cześć głośnego wygnańca Michajłowa, — cały personal urzędniczy, od gubernatora do żandarmeryi i duchowieństwa, oddany został pod sąd i ze służby wydany. — W takich to okolicznościach Zenowicz, tym razem już nie jako polityczny więzień — lecz jako gubernator po raz drugi udał się na Syberyę.

\*                      \*

Można więc sobie przedstawić położenie nowego gubernatora, gdy przybywszy na miejsce, znalazł się naraz wobec nadsyłanych mu do Tobolska raz poraz tłumnych partyi wygnańców; gdyż jak wiadomo, Tobolsk był jakby rozsądnikiem, z którego według stopnia kary

---

<sup>1)</sup> Z babką jego żonaty był I. Tuczkow, Jenerał Gubernator Moskwy.

i rozporządzenia, — rozsyłano więźniów w różne strony Syberyi. A jednak chociaż nie podzielał lekkomyślnie powziętych nadziei i bolał nad zaślepieniem tych, co kraj w przepaść wtręcili, — któż nie wie, jak się z tego wywiązał, — jak umiał pogodzić obowiązki naczelnika powierzonego mu kraju — z uczuciem ludzkości, bez zaparcia że się urodził Polakiem. Wielu dziś jeszcze pamięta tę chwilę radośną, gdy na tej iście drodze krzyżowej, znękani nędzą, długą podróżą, więźniowie, — pod świeżem wrażeniem przechodzących wszelką miarę okropności etapów, — powitani byli w Tobolsku staropolskiem pozdrowieniem gubernatora, — który z ojcowską troskliwością rozmówiwszy się z każdym, udzielał rady, pomocy, opieki, — a przedewszystkiem pociechy. A niełatwa to rzecz była wobec świeżych wypadków, — i co nie mniej ważne: — wobec tłumów wygnańczych, na które się rozmaite żywioły składały. Widocznie jednak Bóg mu błogosławił, bo na tem tak trudnem stanowisku, zjednał sobie nie tylko niewygasłą wdzięczność rodaków, ale i szacunek samychże Rosyan.

Pierwszym tego dowodem, po odwołaniu go z Tobolska z powodu choroby i osiedleniu w Petersburgu, w radzie ministra spraw wewnętrznych, — była przyjaźń hr. Loris-Melikowa. Szlachetni ci dwaj mężowie, których cele wybiegały poza granice utartej rutyny, — nie mogli nie poznać się na sobie i nie zbliżyć, aby we wspólnem usiłowaniu pchnąć nawę państwa na inne tory. Fatalność jednak chciała, by na ten raz usiłowania te były bezskuteczne. Z tragiczną śmiercią cara powiały inne prądy. Hr. Loris-Melikow umarł odsunięty od zaczętej roboty, Zenowicz złamany cierpieniem,

pozostał biernym świadkiem dalszego ciągu dawnego systemu<sup>1)</sup>.

Że publicznemu życiu, którem wszędzie i zawsze kierowała prawość i szlachetność, a z nią poczucie wszelkiego dobra i piękna, — odpowiadało życie prywatne, tego dowodzić nie trzeba. Oto jeden z przykładów.

Zdarzyło się raz, że gdy według zwyczaju, dzielił się chlebem i słowem podczas świąt Bożego narodzenia z oddziałem wygnańców pędzonych w dalsze strony, — wzrok jego zatrzymał się na młodzieńcu, którego postać sympatyczna obudziła w nim współczucie niezwykle. Był to Doboszyński, Litwin, z okolic nowogrodzkich. Trafna i śmiała odpowiedź chłopca chwytła go za serce; zostawuje go na własną odpowiedzialność w Tobolsku, bierze do swego domu i jak syna przygarnia. Wychowane też godnym względów się okazał; pod okiem opiekuna chlubnie ukończył przerwane nauki, — a gdy zaś trzeba było pomyśleć o dalszym losie, wybrał stan wojskowy. Lecz oto po świetnem ukończeniu akademii wojskowej, gdy się przed nim otwierała karyera, — wybucha wojna turecka. Doboszyński kierowany uczuciem honoru — udaje się na plac boju — i tam walcząc jak na Polaka przystało — pod Szypką ginie. Jaka była boleść przybranego ojca i jak gruby cień żalu ta strata rzuciła na pasmo jego wspomnień, nietrudno pojąć.

---

<sup>1)</sup> Niepomyślny stan zdrowia przez długie lata był powodem, że choć nie zrywał z towarzystwem — trzymał się odeń zdala. To też namiętnością jego była lektura. I dobrze w jego życiorysie powiedział Spasowicz, który jako najbliższy z przyjaciół petersburskich znał go najlepiej, — i że nie tylko wiedział co się dzieje, ale i co się myśli na świecie.



Nie zraziło go to jednak; — bo jeszcze nieraz i nie-jeden z młodzieży znalazł w nim ojcowską opiekę i pomoc.

To też działalność jego na Syberyi, wśród tak niezwykle trudnych okoliczności i czasów pozostanie na zawsze niezbitym dowodem, co może zdziałać Polak w kraju zabranym, — gdy jego chęciom towarzyszy wysoka prawość, poczucie godności i niezłomna moc charakteru.

Oto co o nim opowiadają, w 30-tą rocznicę jego pożegnania z Kiachtą, rosyjskie dzienniki.

»Przegląd wschodni« w następujących słowach działalność Zenowicza określa:

»Troickosawsk w grudniu bieżącego 1892 roku, smutną dla siebie pamiątkę obchodzi; w tym bowiem miesiącu przed trzydziestu laty, utraciliśmy jednego z najbardziej wpływowych, rozumnych i uczciwych ludzi. Dwunastoletnia działalność Zenowicza jako naczelnika miasta i kraju, dotąd we wdzięcznej pamięci, zarówno bogatych jak i ubogich pozostała.

Zakreślił on sobie obszerne pole działalności, a nazwisko swoje z dziejami ekonomicznego, społecznego i umysłowego rozwoju związał. Jako współpracownik hr. Murawiewa Amurskiego, korzystając z praw komisarza Kiachty, zawarł bardzo korzystny traktat z Chinami i otworzył dla handlu rosyjskiego drogę do Niebieskiego państwa. Następnie wykrył od wielu lat zagnieźdzone na komorze kiachtyńskiej nadużycia, skutkiem których państwo miliony rubli utraciło. Jako nagrodę otrzymał: podniesienie o kilka stopni w godności, tysiąc rubli jednorazowo i tyleż dożywotniej pensji, bez względu na pobieraną — i przyszlą emeryturę. Nieubłagany



był dla nadużyć urzędników, ale skoro znalazł w którym uczciwość i choć mierne zdolności, zbliżał go zaraz do siebie, gorliwie nim się zajmował, ukształcał i umysł rozwijał. Tym sposobem wytworzył sobie nietylko zdolnych współpracowników, ale i ludzi, którzy, gdy naczelnika już nie stało, byli w możności dzieło jego prowadzić.

Obdarzony niezwykłą siłą charakteru, był zawsze obrońcą każdej słusznej sprawy i bez względu na biednych lub bogatych, z całą gorliwością nią się zajmował. Wytrwale pracował, aby nietylko podnieść byt materyalny, ale i moralność zaszczerpić; rzucił nasiona oświaty, uszlachetniał w życiu towarzyskiem obyczaje, i nadawał mu cechy bardziej europejskie. Sam uczył gospodarstwa wiejskiego, na własny koszt nasiona sprowadzał i takowe darmo miejscowej ludności rozdawał. To też lud w Kiachcie błogosławi dotąd pamięć Zenowicza.

Rządy jego wpłynęły i na zewnętrzną stronę Troickosawska; miasto porządnie zabudowywać się zaczęło, wszędzie wzorową zaprowadzał czystość, ulice w nocy były oświecone, do czego później zaprowadzony samorząd miejski dojść już nie zdołał.

Zenowicz uważał Troickosawsk nietylko jako ważny punkt handlowy, ale jeszcze jako ognisko dwóch stykających się z sobą cywilizacyi. Rządząc krajem, położył sobie za zadanie podnieść oświatę, do mieszkających tu Rossyan niedopuszczał azyatyckiej dzikości i ospałości, a na miejscową ludność zlewał dobroczynne światła promienie i tym sposobem przygotowywał Rossyę do spełnienia wielkiej cywilizacyjnej missyi na Wschodzie, jaka się jej w udziale dostała.

Przy pomocy miejscowych kupców, których umiał przejąć swymi poglądami i do zamiarów nakłonić, urządził czteroklasowe gimnazjum, szkołę realną i ochronkę, a opuściwszy te strony zdala jeszcze czuwał, aby kilkunastoletnia praca nie poszła na marne i t. d., i t. d. «

»Prawitielstwennyj wiestnik« Nr. 35 r. 1893 tak mówi:

»Niepodobna byłoby dać pełnego obrazu powstania handlu karawanego w całej prawdzie, bez wymienienia tam imienia Aleksandra Iwanowicza Despot-Zenowicza, obecnie członka rady Ministra spraw wewnętrznych — którego najlepsze lata życia związane są ściśle z historią ekonomicznego i umysłowego rozwoju nie tylko Kiachty, ale i znacznej części Syberyi. Niestrudzony w przeprowadzeniu raz powziętych zamiarów A. I. działał tam zarazem w kierunku ekonomicznym, umysłowym i społecznym, podniesienia i rozwoju Kiachty do tyła, że stał się istotnym tego kraju światłodawcą. — Pędząc nadzwyczaj życie pracowite, miał tę pociechę, że mu się wszystko wiodło. Sam osobiście pouczał ludność jak należy uprawiać, jak zasiewać rolę. Własnym kosztem sprowadzał nasiona, rozdawał je darmo. Zasluga zaprowadzenia ogrodnictwa w Kiachcie jemu się jedynie należy. Zaprowadził też wstrzemięźliwość i surowo prześladował pijaństwo. On to założył pierwsze normalne szkoły — a w braku nauczycieli sam w nich uczył i t. d. «

Taki to był żywot człowieka — który w swoim czasie wygnany z rodzinnej ziemi przez rząd ówczesny, odpłacił się dobrodziejstwem temuż rządowi na ziemi wygnania! To też i wdzięczność nie minęła go; a znajdujemy tego dowód w słowach, które po wielu latach,

petersburski dziennik »Russkaja żyzi« przytaczając znaną już nam korespondencję z Troickosawska dodaje od siebie.

. . . . .  
. . . . . Ocenienie zasług człowieka, który tyle zrobił na polu administracyjnem, ekonomicznem i społecznem, zjawia się w dzienniku Sybiraków, których to właśnie bardzo często oskarżają o brak życzliwości dla ludzi z innych prowincyi przybyłych. Tymczasem, organ powszechnie o stronność podejrzrywany, składa hołd wdzięczności prawdziwej zasłudze i z zapalem ocenia zasługi człowieka, który prawdziwą korzyść ich krajowi przyniósł. Widać z tego, że miejscowa prasa i społeczeństwo umieją złe od dobrego odróżnić, a tych, którzy szczerze dopomogli do rozwoju, serdeczną okazali życzliwość, zapalali światło wiedzy i do lepszej prowadzili przyszłości — czcią i długotrwałym szacunkiem otacza».

Tyle z ruskich dzienników. — My zaś dodamy jedno, co wszędzie i zawsze winno być nam dewizą i drogowskazem w naszej walce o byt: a mianowicie, że zmusić wroga do szacunku — to prawie jedno — co odnieść nad nim walne zwycięstwo.

\* \* \*

I oto przeszły lata — ciężkie i trudne do przebycia dla nas... a z niemi rzecz oczywista, ubyło niemało sił w organizmie nadwątłym wysiłkiem pracy i cierpien, których źródło nie trudno odgadnąć. Czuć się Polakiem — i być członkiem rady ministra spraw

wewnętrznych w czasach obecnych, — to prawie jedno co kropla po kropli poić się żółcią. Chcieć i nie móc — tam, gdzie się decydują losy narodu, — to dwa uczucia, które w starciu się nieustannem, zdolne zachwiać najsilniejszą wolą — lub ją zdrętwić doszczętnie. Ani jedno, ani drugie z nim się nie stało. Owszem, gdy przez swą osobistą wartość czuł, że przedstawiał pewną siłę moralną, — co się w danym razie dała używać chętnie, — pozostał na stanowisku, dopóki mu sił starczyło. Było to zaprawdę spełnienie obowiązku heroiczne — które mu też za zasługę kraj policzy. — Ale oto przyszedł czas, gdy natura i choroba powiedziały swoje veto, — i gdy poświęcenie dalsze stało się już niemożliwem. To też złamany ciałem lecz nie ugięty duchem, tak pisał ostatnimi czasy do jednego z przyjaciół<sup>1)</sup>.

St. Petersburg 1894.

...Dnia 17. kwetnia, najjaśniejszy pan raczył mię uwolnić, stosownie do mojej prośby, od wszystkich mnie krępujących dotychczas więzów, mianując rzeczywistym tajnym radcą. Jest to kres, — szczebel ostatni hierarchii rządowej, do którego pną się tysiące, ginąc w połowie drogi — jak wszystko co jest samo przez się prochem i w proch się obraca.

Dystynkeya ta była dla mnie siurpryzą; anim przypuszczał jej przy dzisiejszym kierunku i warunkach naszej egzystencji. Nadto, samo zawiadomienie mnie, miało odcień *quasi* poezyi i pewnej oryginalności. O 12-ej w nocy z 16. na 17. kiedy rozbrzmiewał odgłos dzwonów: *Chrystos wskrese!* w nadnewskich

---

<sup>1)</sup> Do E. Pawłowicza.

świątyniach, — zjawia się kurjer i wręcza mi reskrypt cesarski.

Sztuka skończona, — kurtyna zapadła i scena ze sztucznym swym blaskiem i całą swą dekoracją zewnętrzną — znikła, — jak wszystko co jest związanem z nicestwem naszego żywota i t. d.

---

Tak więc, u ogniska gdzie się kują nasze losy, — ubył nam jeden z najzacniejszych orędowników każdej dobrej sprawy! Czy i kto go zastąpi? — przewidzieć trudno. To tylko pewna, że bądź jak bądź, — społeczność która wydaje podobnych ludzi, ma prawo czuć się niemi dumną — i jakiegokolwiek są jej dzisiaj losy, — poleciwszy je sprawiedliwości Bożej, — może i powinna śmiało w przyszłość spoglądać.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000556679



II 119178

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLINSKICH

POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA.